Na półkach polskich księgarń znajdziemy wiele autobiografii. Sam fakt, że ktoś postanawia opowiedzieć o swoim życiu, świadczy o tym, że jest człowiekiem odważnym, ale jednocześnie ma w sobie jakieś przeświadczenie o niezwykłości swego życiorysu, a tym samym o swej wyjątkowości. Zawsze się więc zastanawiałem, czy nie jest to przejaw swoistego narcyzmu. Kiedy zaś widziałem autobiografie osób, których nazwiska nic mi nie mówiły, pytanie to pojawiało się ze zdwojoną siłą. Dlatego też nie znajdowałem w sobie woli, aby zagłębiać się w lekturę takich właśnie książek.

Jednak "Baltazar" Sławomira Mrożka jest autobiografią wyjątkową z kilku przynajmniej powodów. Gdybym ułożył swój prywatny ranking polskich pisarzy, to autor tej książki znalazłby się w nim bardzo wysoko - na jednym z trzech czołowych miejsc. Cenię niezmiernie twórczość Mrożka, zarówno jego groteskowe opowiadania, dramaty, jak i felietony. Podziwiałem zawsze jego subtelne poczucie humoru, umiejętność odszukiwania otaczających nas absurdów, mówienia o sprawach fundamentalnych w sposób pozbawiony jakiegokolwiek patosu. To pierwszy powód mojego zainteresowania tą autobiografią.

Drugim jest niezwykła geneza tej książki. Otóż w 2002 r. Sławomir Mrożek przeżył udar mózgu, czego efektem była afazja. Polega ona na tym, że człowiek zapomina języka zarówno w mowie, jak i piśmie. Sytuacja jak z jego groteskowych dzieł: oto pisarz zapomina języka, nie jest w stanie się z nikim komunikować, nie umie nazwać osób, rzeczy, emocji, nie wie, co to są wyrazy, a wybranie numeru na klawiaturze telefonu zupełnie go przerasta. Mężczyzna w sile wieku o możliwościach intelektualnych niemowlaka. Byłoby to rzeczywiście groteskowe, gdyby nie fakt, iż dotyczy zdrowia. Rehabilitacja trwała długo, bo ponad trzy lata, choć w zasadzie to trwa ona nadal. "Baltazar" jest właśnie elementem tej rehabilitacji, śmiem twierdzić, że dla autora jest to książka bardzo ważna, a może i najważniejsza, bo pokazuje, z jaką determinacją Mrożek walczył ze skutkami choroby. Po trzech latach nie tylko przypomniał sobie słowa, ale także wrócił do swej znakomitej intelektualnej i artystycznej formy.

I wreszcie trzeci powód mojego zainteresowania tą właśnie autobiografią. Mrożek wspomina w niej Kamień, a więc miejscowość, z którą splotło się i moje życie osobiste oraz zawodowe.

Warto w tym miejscu dodać, że autor jest bardzo surowy w ocenie osób oraz miejsc. Z autobiografii wyłania się postać dosyć introwertyczna, ale i wymagająca w stosunku do ludzi. Jego relacje z ojcem, a w zasadzie z całą rodziną, były dosyć oschłe, choć i to stwierdzenie jest raczej eufemizmem. Widać za to wyraźnie dosyć mocną więź pisarza z matką, która zmarła bardzo młodo, bo w wieku zaledwie 42 lat. Swego dziadka nazywa wprost "kutwą", a jego drugą żonę "wstrętną babą". Tym bardziej uderza sympatia, z jaką pisze o Kamieniu, a szczególnie, nie boję się użyć tego słowa, podziw, który żywi wobec swego wuja Ludwika Kędziora.

Mrożek odwiedził Kamień trzy razy. Po raz pierwszy przyjechał tu w lipcu 1939, a więc tuż przed wybuchem II wojny światowej. Miał wówczas dziewięć lat. Tak pisze o swych pierwszych wrażeniach:

"W Kamieniu wszystko było nowe i niezwykłe. Mieszkał tam jedyny wujek z całej rodziny, którego można nazwać było bogatym. Miał młyn, tartak, "lokomobilę", staw, dwa domy i motocykl - wszystko za obszernym ogrodzeniem. Nie ożenił się, ale miał "harem"złożony z ładnych służących i w ogóle był odmienny od wszystkich wujków. Nie truł i nie moralizował, swoje sprawy zachowywał dla siebie, a jednocześnie dawał wszystkim szansę. Wtedy widziałem go po raz pierwszy [...]. Niech odpoczywa w pokoju, "odmienny od wszystkich wujków".

Chłopiec otrzymał od wuja sportowy karabinek i nieograniczoną liczbę naboi, fiński nóż i władzę nad stawem i łodzią. Czuł się szczęśliwy, więc decyzja o powrocie do Borzęcina, w którym wówczas mieszkali, była dla niego bolesnym ciosem. Odjeżdżał "z żalem za swobodą", jaką zostawił w Kamieniu. Ten krótki pobyt na miesiąc przed wybuchem wojny był chyba najszczęśliwszym etapem jego dzieciństwa.

Po raz drugi Mrożek przyjechał do Kamienia w 1940, tuż po kapitulacji Francji. Warunki bytowe w Borzęcinie były bardzo trudne i dlatego jego rodzice postanowili jakiś czas pomieszkać u ich bogatego krewnego. Ten fragment autobiografii dotyczący Kamienia jest znacznie dłuższy. Zestawia w nim dwie postaci: Jana Kedziora oraz jego bratanka - Ludwika Kędziora. W każdym elemencie wygrywa ten drugi. Autor pisze, że ten 38-letni wtedy krewny, cieszył się wśród

mieszkańców wielkim poważaniem. Co najmniej raz dziennie wpadał do niego na "pogaduszki" ksiądz proboszcz, często przychodzili też leśnicy, z którymi gospodarz omawiał jakieś ważne sprawy. Małego Mrożka wystawiano wtedy za drzwi, aby nie podsłuchiwał. Listę gości uzupełniali majstrowie z tartaku, znajomi z Kamienia i okolic, a nawet niemiecki oficer, z którym Ludwik grywał w szachy.

Wiele miejsca poświęca również opisowi całego gospodarstwa. Dla małego chłopca wydawało się ono ogromne, szczególnie w zestawieniu z niezmierną ciasnotą, która panowała w Borzęcinie. Jak twierdzi autor, na posesji znajdowały się dwa domy, a w zasadzie "dwa i pół". Pierwszy, położony nieopodal ulicy, pochodził jeszcze z dziewiętnastego wieku. Był duży, przestronny i wygodny - to w nim koncentrowało się życie mieszkańców. Nieco dalej usytuowany był piętrowy spichlerz, parterowy budynek, w którym Ludwik przechowywał części do swych motocykli, oraz młyn. Do niego przylegał prywatny apartament stryja. Przez niemal całe podwórko biegły szyny kolejki wąskotorowej. No końcu znajdował się staw, a na półwyspie jeszcze jeden dom, który cały czas zamknięty był na klucz.

Stryj Ludwik był człowiekiem o sporym temperamencie. Po powrocie z niewoli bolszewickiej, walczył bowiem na wojnie w roku 1920, spotkał się z matką oraz człowiekiem, który miał wobec niej bardzo poważne plany. Gdy tylko usłyszał, że matka chce ponownie wyjść za mąż, rozbił na głowie pretendenta do jej ręki kufel. Tak zakończył tę znajomość. Miał wtedy siedemnaście lat.

Pobyt w Kamieniu przedłużał się i wysłano chłopca do miejscowej szkoły. Zaprzyjaźnił się szybko z Lolkiem Barańskim - synem kierowniczki. Z jego relacji wynika, że to właśnie tutaj zainteresował się literaturą. Czytał bardzo dużo, były to przede wszystkim książki polskie, ale już wtedy zafascynował się "Makbetem" Szekspira.

Wiosną 1941 w okolicy zaczęła się koncentracja wojsk niemieckich. Wszędzie pełno było żołnierzy, pojawiły się czołgi i artyleria. Szczególnie fascynowała go ogromna armata stojąca na podwórku szkolnym. 22 czerwca obudził go odgłos wystrzałów artyleryjskich. Wehrmacht ruszył na Związek Radziecki.

Jeszcze w roku 1941 rodzina Mrożków opuściła Kamień i wyjechała do Porębki Uszewskiej. Nalegał na to ojciec, który tęsknił za swą pracą. Wydaje się zresztą, że była ona treścią jego życia, męczył się, kiedy był poza pocztą. Najbardziej niezadowolona z powrotu była matka, która, jak pisze Mrożek, czuła się tutaj szczęśliwa.

Ostatnia wizyta Sławomira Mrożka w Kamieniu miała miejsce w 1949 roku. Do Krakowa, w którym wtedy mieszkał, zawitał stryj Ludwik. Wręczył młodzieńcowi sporą sumę pieniędzy i zaprosił do siebie na wakacje. Po przyjeździe na miejsce młodzieniec, miał wtedy bowiem dziewiętnaście lat, zamieszkał w domku na półwyspie w pewnym odosobnieniu, co zresztą bardzo mu odpowiadało. W Krakowie był mimowolnym świadkiem awantur pomiędzy ojcem i siostrą, dlatego samotność była dla niego wybawieniem. Czas spędzał na wycieczkach rowerowych po najbliżej okolicy. Odwiedził Nisko i Sokołów, który wydał mu się niemal zupełnie wymarły. Wieczorami, po kolacji wędrował po polach i lasach, nikt go nie kontrolował i mógł w zasadzie robić, co mu się żywnie podobało. Nie zaniedbywał jednak nauki. Właśnie zdał maturę i przygotowywał się do egzaminów wstępnych na architekturę. Do kierunku tego nie był zresztą zupełnie przekonany, ćwiczył się co prawda w rysunku, malował na przykład miejscowy kościół, lecz robił to bez przekonania. Dużą przyjemność sprawiała mu za to nauka języka angielskiego, osiągnął nawet w posługiwaniu się nim pewną biegłość.

Kiedy wakacje dobiegły końca, Mrożek powrócił do Krakowa. Stryja Ludwika nigdy więcej nie spotkał.

To bardzo miłe uczucie, kiedy w autobiografii cenionego na całym świecie dramatopisarza i prozaika odnajdujemy tak ciepłe wspomnienia miejsc, które są nam samym bliskie. Kamień był dla Sławomira Mrożka miejscem specjalnym, a jego stryj był dla niego niewątpliwie postacią wyjątkową. Dzieciństwo autora "Baltazara" nie było łatwe. Poznał, co oznacza słowo bieda, wielokrotnie zmieniał miejsce zamieszkania, a jego sytuacja rodzinna daleka była od ideału. I właśnie w Kamieniu czuł się najlepiej - odnalazł tu spokój, mógł żyć we względnym dobrobycie w domu człowieka, który cieszył się powszechnym szacunkiem. Pozostaje nam tylko cieszyć się z tego, że we wspomnieniach tego wybitnego pisarza Kamień zajmuje tak poczesne miejsce.

Sławomir Ożóg

Z wielkim zainteresowaniem, a nawet wzruszeniem przeczytałem opracowaną przez pana Sławomira Ożoga recenzję książki "Baltazar", autobiografii Sławomira Mrożka. (Pierwszą reakcją był telefon do siostry, żeby mi tę książkę kupiła). Po przeczytaniu chciałbym dorzucić nieco własnych wspomnień.

Moi dziadkowie, Salomea i Andrzej Delektowie byli sąsiadami Ludwika Kędziora, a ich syn, Kazimierz, był kolegą szkolnym Sławomira Mrożka, który podczas okupacji mieszkał przez jakiś czas u swojego wuja Ludwika Kędziora. Pamiętam, że przychodził nieraz do swojego kolegi-sąsiada, ale oni jako 11-letni chłopcy mnie, sześciolatka, ignorowali.

*W swojej autobiografii Mrożek pisze: "Ksiądz proboszcz, którego kościół znajdował się nieco powyżej ulicy, a plebania w pobliżu, co najmniej raz dziennie wpadał na pogaduszki." Wydaje mi się, że nie był to ksiądz proboszcz Henryk Grębski, a ksiądz katecheta Michał Gądek, którego z Ludwikiem Kędziorem łączyły wspólne zainteresowania bronią i myślistwem. Był to bardzo uczynny ksiądz, którego mile wspominam. Kiedy w 1938 roku moja mama wyjechała "z a chlebem" do Francji, pozostawiając mnie pod opieką babci Salomei,
babcia w chwilach pilnych prac polowych "podrzucała" mnie pod opiekę księdzu Michałowi, który karmił mnie pomarańczami. Gospodarstwo na plebanii prowadziła siostra proboszcza, która była moją matką chrzestną, a mimo to babcia w zapewnieniu opieki nad dzieckiem korzystała z usługi księdza Michała. Kiedy już chodziłem do szkoły, na lekcjach religii ksiądz*

katecheta często przypominał mi o tym, przezywając mnie w żartach "pomahańca", bo jako dziecko nie wymawiałem litery "r"

Pan Kędzior i ks. Gądek jesienią organizowali dla "elity" powiatu niżańskiego polowania na zające. Każdy z myśliwych za drobną opłatą zatrudniał jednego z "naganiaczy", którymi byli przeważnie chłopcy w wieku szkolnym. Uczestniczyłem w jednym z takich całodziennych polowań. Pamiętam, że nie wziąłem sobie nic do jedzenia i w przerwie na posiłek byłem piekielnie głodny. Na szczęście, myśliwy, który mnie zaangażował, poczęstował kanapką. Da dzisiaj pamiętam że była to bułka z jajecznicą. Wieczorem, po polowaniu, u pana Kędziora była uroczysta kolacja dla myśliwych.

Z powodu udziału w polowaniach ks. Gądek miał kłopoty z Kurią w Przemyślu i może nawet to było powodem przeniesienia go na proboszcza do Sokołowa.

A tak wspomina pana Kędziora moja siostra Janina:

"Ogród pana Ludwika Kędziora. Tajemniczy, odgrodzony od świata ogród. Ileż ja się tam nazaglądałam przez wąskie szpary między sztachetami wysokiego płotu, ileż nawyobrażałam sobie, nawymyślałam różnych historii na temat jego mieszkańców, ileż naprzełykałam się śliny, wpatrując się w dorodne czereśnie - żółte, różowe, czerwone. Więc jak tylko usłyszałam, że można je kupić, trzeba tylko trafić, kiedy sam właściciel je zrywa, wyprosiłam u mamy 50 groszy i ustawiłam się pod płotem. W pierwszym dniu bez skutku. Nie pojawił się. Ale w drugim

udało się. Pan Kędzior dojrzał mnie z drabiny, przysunął ją do płotu, wziął ode mnie monetę, za którą dostałam trzy zrobione z wyrwanych z zeszytu kartek tubki czereśni. Pamiętam jego spojrzenie - smutne, trochę nieobecne. I naraz, jakby mnie dopiero dostrzegł, uśmiechnął się. Może wyczuł, że się go boję. A smak czereśni? Niezapomniany. Do dziś kojarzący się ze smakiem dzieciństwa."

Serdecznie pozdrawiam

Tadeusz Krawczyk